



EDGAR ALLAN POE

---

# Studnia i wahadło

EDGAR ALAN POE

## Studnia i wahadło

TLUM. STANISŁAW WYRZYKOWSKI

*Impia tortorum longos his turba furores,  
Sanguinis innocui non satiata, aluit.  
Sospite nunc patria, fracto nunc funeris antro,  
Mors ubi dira fuit vita salusque patent<sup>1</sup>.*

*Czterowiersz przeznaczony na bramę hali targowej, która miała powstać na miejscu budynku klubu jakobinów w Paryżu.*

Byłem złamany, złamany śmiertelnie tym przewlekłym konaniem i kiedy w końcu zdjęli ze mnie więzy i pozwolili mi usiąść, uczulem, iż odchodzę od przytomności. Wyrok — straszliwy wyrok śmierci — był ostatnim wyraźnym brzmieniem, które obilo się o moje uszy. Potem wydało mi się, że głosy inkwizytorów roztapiają się w jakimś sennym, nieokreślonym szumie. Wywoływał on w mej duszy wrażenie obrotu, może dlatego, że wyobrażenia moja skojarzyła go z kołem młyńskim. Trwało to bardzo krótko, gdyż wnet przestałem zupełnie słyszeć. Mimo to widziałem jeszcze czas jakiś; lecz jakiś straszliwy wygląd przybierało wszystko w mych oczach! Widziałem wargi przyodzianych w czern sędziów. Wydawały mi się one białe — bielsze od kartki, na której kreślę te słowa — i nieprawdopodobnie cienkie: jak gdyby ścięczały pod wpływem wyężonej stanowczości, zakrzepłej nieodwołalności i srogiej wzdary dla męczarni ludzkiej. Widziałem, jak rozstrzygnięciem mojego losu drgały jeszcze te usta. Widziałem, jak zacinęły się orzekające kęź śmierci. Widziałem, jak kształtowały się na nich zgłoski mojego nazwiska i drżałem, by nie przyszła kolej na dźwięki. W nikłym mgnięniu obłądnej trwogi widziałem również lekkie i omal niedostrzegalne falowanie czarnych opon<sup>2</sup> osłaniających ściany komnaty. Następnie wzrok mój padł na siedem wielkich świec ustawionych na stole. Zrazu miały one wygląd litosny i wydawały mi się białymi, smukłymi aniołami, co przyszły, by mnie ocalić; lecz wnet potem mdłość jakaś śmiertelna załala mi duszę i nagły wstrząs przeniknął wszystkie włókna mojego ciała, jak gdybym dotknął przewodnika baterii elektrycznej, a zjawy anielskie przedzierzgnęły się w bezduszne widziadła o głowach z płomienia i zrozumiałem, że pomocy od nich spodziewać się nie można. Po chwili przez mę wyobrażnię na kształt bujnej, dźwięcznej melodii przemknęła myśl, jak słodko musi być w grobie. Myśl ta przyszła z cicha i skrycie i miałem wrażenie, jak gdyby nieprędko objawiła się w nieocenionej swej pełni; kiedy zaś duch mój poczał w końcu właściwie ją odczuwać i nią się lubować, postaci sędziów jak na zaklęcie zniknęły mi nagle z oczu; wielkie świece zapadły w nicość; płomienie ich pierzchły; otoczyła mnie czern mroków; wszystkie wrażenia zdawały się przepadać w obłądnym, rwącym zamierzchu duszy odchodzącej w zaświaty. W końcu wszechświat omgłił się nocą, cichością i milczeniem.

Straciłem przytomność; nie powiedziałbym jednakże, iż postradałem zupełnie świadomość. Co z niej pozostało? — tego nie zamierzam określać, a tym mniej opisywać; to pewne, iż nie wszystko zanikło. Dziejeź się to w odurzeniu sennym? — nie! W obłądnie? — nie! W omdleniu? — nie! W śmierci? — nie! Nawet w grobie nie wszystko zanika. Gdyby było inaczej, człowiek nie byłby nieśmiertelny. Budząc się z najgłębszego

<sup>1</sup>*Impia tortorum (...) salusque patent* — Nikczemny tłum oprawców niesyty krwi niewinnej przez długie czasy dawał tu żer swym szalom. Dziś, gdy ojczyzna pozyskała spokój, dziś, gdy pokruszono pieczęć grabarzy, życie i zbawienie jawią się tam, kędy śmierć złowroga panowała. [przypis redakcyjny]

<sup>2</sup>*opona* (daw.) — zasłona, kotara. [przypis edytorski]

Wzrok

Śmierć, Wizja

Nieśmiertelność

Sen, Zaświaty, Duch,  
Ciało, Zmysły

snu, zrywamy pajęczą tkankę jakiegoś marzenia. Ale w chwilę później (tak nikła widocznie była ta tkanka!) nie przypominamy już sobie, żeśmy śnili. Powracając z omdlenia do przytomności, przechodzimy dwa okresy; pierwszym jest poczucie istnienia umysłowego czy duchowego; drugim poczucie istnienia fizycznego. Gdybyśmy przechodząc do okresu drugiego, mogli wywołać wrażenia z okresu pierwszego, to wydaje mi się rzeczą możliwą, iż te wrażenia zawierałyby mnóstwo wymownych wspomnień z otchłani pozaświadomej. Czymże jest ta otchłań? I czym różni się jej mrok od cieniów grobu? Jakkolwiek wszakże wrażenia z tego stanu, który nazwałem pierwszym okresem, nie dają wywoływać się dowolnie, to czyż po pewnym czasie nie przychodzą one same ku wielkiemu naszemu zdumieniu, skąd się wzięły? Kto nigdy nie odchodził od przytomności, ten nie dojrzy czarodziejskich grodów i potwornie znajomych twarzy w jarzących się głowniach; ten nie dostrzeże w napowietrznych przestworzach pierzchliwych, smętnych wizji, niewidzialnych dla oczu tłumów; ten nie będzie rozpamiętywał woni jakiegoś nieznanego kwiatu i nie będzie zaciekał się myślą w jakiejś niezasłyszanej dotychczas melodii.

Otchłań, Cień

Wśród częstych i uporczywych wysiłków, by sobie przypomnieć, wśród wyteżonych starań, by natknąć na ślady owego stanu pozornej nicości, w której pograżyła się ma dusza, bywały chwile, kiedy marzyłem o powodzeniu; bywały krótkie, przelotne okresy, gdy wyczarowywałem wspomnienia, które później, rozpatrywane w świetle rozumu, wykazywały ścisłą swą zależność od owej rzekomej nieprzytomności. W mgławicach tych wspomnień majaczą niewyraźnie smukłe postacie, które wzięły mnie i uniosły w milczeniu, hen, w dół — coraz głębiej i głębiej, aż czczość zawrotna ogarnęła mnie wreszcie na samą myśl o nieskończoności tego spadania. Pozostała także pamięć jakiegoś nieuchwytnego lęku, wywołanego nienaturalnym uspokojeniem się serca. Potem nawiedziło mnie poczucie nagłego bezruchu wszechrzeczy, jak gdyby upiorny orszak, zstępując ze mną coraz niżej, minął rubież bezkresów i zatrzymał się znużony nieskończonością swego dzieła. Następnie owiała mnie wilgoć i opanowała niemoc; po czym nade wszystkim rozpostarł się obłęd — obłęd pamięci, miotającej się wśród rzeczy piekielnych.

Wizja, Zmysły, Dusza,  
Ciało

Wtem z nagłą wszczął się w mej duszy ruch i szmer — rozgłośny ruch serca, którego tętno rozlegało mi się w uszach. Lecz wnet nastąpiła głucha przerwa. Po niej znów szmer, ruch i drżenie, przenikliwym dreszczem rozchodzące się po ciele. Następnie pierwsza świadomość istnienia, pozbawiona myśli; stan ten trwał długo. Z kolei nagły przebłysk myśli i wstrząs grozy, i zawzięty wysiłek, by zdać sobie sprawę z własnego stanu. Potem dziwna żądza, by pograżyć się znów w beczuciu. Potem błyskawiczne przebudzenie się duszy i pomyślna próba ruchu. I oto pełna świadomość dochodzeń, sędziów, czarnych opon, wyroku, osłabienia i zemdlenia. Następne zdarzenia wypadły mi zupełnie z pamięci; dopiero znacznie później i po najgłębszym namyśle zdołałem je sobie w przybliżeniu przypomnieć.

Dotychczas nie otwierałem oczu. Czulem, że nie mam na sobie więzów i że leżę na wznak. Wyciągnąłem rękę, która spadła ciężko na coś twardego i mokrego. Nie ruszałem jej czas jakiś, usiłując odgadnąć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Pragnąłem rozejrzeć się, ale nie śmiałem. Przerazała mnie myśl o pierwszym spojrzeniu na otaczające przedmioty. Nie bałem się, że ujrzę rzeczy potworne, lecz truchlałem w przypuszczeniu, iż mogę nic nie zobaczyć. W końcu z dziką rozpaczą w duszy rozwarłem spieszenie oczy. Trapiąca mnie myśl okazała się prawdziwa. Spowijała mnie czerni wiekuistej nocy. Oddychałem z trudnością. Miałem wrażenie, że gęstość mroków gniecie mnie i dławi. Powietrze było nieznośnie duszne. Wciąż jeszcze leżałem spokojnie i starałem się skupić władzę rozumu. Uprzytomniłem sobie postępowanie Inkwizycji i na tej podstawie usiłowałem zdać sobie sprawę z rzeczywistego mego położenia. Wyrok zapadł, a od tej chwili — jak mi się zdawało — upłynął znaczny odstęp czasu. Mimo to nawet nie zakielkowało we mnie przypuszczenie, jakobym istotnie rozstał się z życiem. Myśl taka, wbrew temu, co wypisuje się w ksiązkach, wręcz nie da się pogodzić z bytem rzeczywistym. Ale gdzie byłem i w jakim stanie? Wiedziałem, iż skazani na śmierć ginęli zazwyczaj na stosie. Podobne *auto-da-fé*<sup>3</sup> odbyło się w wigilię<sup>4</sup> mojej rozprawy sądowej. Czyżby odesłano

Wzrok, Ciemność

Śmierć, Więzień,  
Więzienie, Grób

<sup>3</sup>*auto-da-fé* (port.: akt wiary) — końcowy etap procesu inkwizycyjnego: publiczna deklaracja potwierdzenia lub odrzucenia religii katolickiej przez oskarżonego przed jego spaleniem na stosie; także: publiczne wykonanie wyroku śmierci na heretyku przez spalenie na stosie. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*wigilia* — przeddzień, tj. dzień poprzedzający ważne wydarzenie. [przypis edytorski]

mnie z powrotem do więzienia i przeznaczono na całopalenie dopiero za kilka miesięcy? To przypuszczenie wydało mi się od razu niepodobieństwem<sup>5</sup>. Potrzebowano ofiar niezwłocznie. Przy tym moje dawniejsze więzienie, jak wszystkie zresztą cele skazańców w Toledo, miało kamienną posadzkę i nie całkiem było pozbawione światła.

Wtem zaświtała mi myśl tak straszna, iż krew wrzącą strugą uderzyła mi do serca i jeszcze raz na chwilę pogрузyłem się w bezczuci. Gdy przyszedł do siebie, zerwałem się w okamgnieniu na nogi, przeniknięty dreszczem do rdzenia. Jąłem bez namysłu wywijając ramionami na wszystkie strony, ponad sobą i dookoła siebie. Nie czułem nic; wszelako bałem się postąpić naprzód, by nie natknąć na ścianę grobu. Pot sączył się ze mnie wszystkimi porami i w zimnych, ciężkich kroplach osadzał się na mym czole. Katusza niepewności wzmogła się w końcu ponad me siły i jąłem ostrożnie stąpać z wyciągniętymi przed siebie ramionami i występującymi z orbit oczyma, spodziewając się, iż dojrzę wreszcie chociażby najniklejszy promyk światła. Uszedłem kilka kroków, lecz zewsząd ziała czerń i próżnia. Odetchnąłem swobodniej. Widocznie los mój nie był jeszcze najgorszy.

Kiedy posuwałem się ostrożnie naprzód, zaroilo się w mej pamięci od tysiąca błędnych pogłosek o okropnościach w Toledo. O więzieniach opowiadano sobie niemożliwości — baśnie, jak mniemałem — lecz tak dziwaczne i tak upiorne, iż nie dadzą się powtórzyć, chyba szeptem. Czy w tym podziemnym świecie mroków miałem zginąć z głodu, czy też zgotowano mi zgon jeszcze straszniejszy? Poznałem dokładnie charakter mych sędziów i wiedziałem, że nie minie mnie śmierć i to okrutniejsza, niż bywało zazwyczaj. Kiedy i w jaki sposób miało się to dokonać? — oto jedyna myśl, która mnie zastanawiała i niepokoiła.

Moje wyciągnięte ręce napotkały w końcu jakąś silną zaporę. Była to ściana, pozornie kamienna, bardzo gładka, oślizła i zimna. Jąłem stąpać wzdłuż niej ostrożnie i z niedowierzaniem rozbudzonym przez niektóre starodawne wieści. Jednak to przedsięwzięcie żadną miarą nie mogło mnie upewnić co do rozmiarów mego więzienia, gdyż mogłem je okrążyć, powrócić na miejsce, skąd wyszedłem, i bynajmniej tego nie zauważyć, tak dalece mur jego wydawał się jednostajny. Począłem więc szukać scyzoryka, który miałem w kieszeni, gdy mnie przyprowadzono do sali sądowej, ale już go nie było; zamiast ubrania miałem na sobie szorstką włosiennicę. Zamierzałem wetknąć ostrze w szczelinę ściany, by w ten sposób oznaczyć punkt wyjścia. Była to wprawdzie przeszkoda dość błaha, ale myśli moje błąkały się tak bezładnie, iż w pierwszej chwili wydawała mi się nie do pokonania. W końcu oddarłem kawałek rąbka od mego płaszcza i rozciągnąłem go na ziemi, pod kątem prostym do ściany. Kołując omackiem musiałem wreszcie dojść do tego strzępu po okrążeniu całego obwodu. Przynajmniej tak sądziłem, przeliczyłem się jednak — sam nie wiem — czy na rozległości więzienia, czy też na własnym osłabieniu. Ziemia była mokra i śliska. Szedłem, ślaniając się co chwila, po czym potknąłem się i upadłem. Przemogło mnie niezmierne znużenie i zasnąłem, nie ruszając się z miejsca.

Kiedym się ocknął i wyciągnął przed siebie ramię, znalazłem obok bochenek chleba i dzban wody. Zbyt byłem wyczerpany, by zastanawiać się nad tym zdarzeniem, lecz pożądliwie zaspokoilem głód i pragnienie. Wnet potem ruszyłem w dalszą drogę dookoła mego więzienia i z niemalym trudem dotarłem w końcu do strzępu włosiennicy. Do chwili upadku naliczyłem pięćdziesiąt dwa kroki, kiedym zaś podjął na nowo mój pochód, uszedłem jeszcze czterdzieści osiem kroków, zanim stanąłem przy owym strzępie. Zrobiłem więc ogółem sto kroków; licząc dwa kroki na jeden jard<sup>6</sup>, wywnioskowałem, iż więzienie moje ma pięćdziesiąt jardów obwodu. Napotkałem jednak wiele załomów w murze i dlatego nie zdołałem zdać sobie sprawy z kształtu tego podziemia, nie mogłem bowiem oprzeć się przypuszczeniu, iż przebywam w podziemiu.

W poszukiwaniach moich nie było celu — a tym mniej nadziei; nie zaprzestawałem ich tylko przez jakąś nieokreśloną ciekawość. Oddalwszy się od ściany, postanowiłem przejść me więzienie w poprzek. Zrazu szedłem nadzwyczaj ostrożnie, gdyż posadzka, aczkolwiek utworzona z twardego na pozór materiału, była zawodna i śliska. Wszelako później nabrałem otuchy i nie wahałem się stąpać pewniej, starając się o ile możności nie

Krew

Więzienie, Śmierć

<sup>5</sup>niepodobieństwo (daw.) — coś nieprawdopodobnego, niemożliwego. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>jard — anglosaska miara długości, równa trzem stopom i wynosząca ok. 0,9 metra. [przypis edytorski]

zobaczyć z domniemanej poprzecznej linii. Zrobiłem w ten sposób około dziesięciu lub dwudziestu kroków, gdy resztkę udartego rąbka włosiennicy podwinęła mi się pod nogi. Nastąpiłem na nią i upadłem jak długi twarzą do ziemi.

Byłem tak oszołomiony upadkiem, iż nie zauważyłem zrazu pewnej niepokojącej okoliczności, która jednakże w chwilę później, kiedy jeszcze leżałem na ziemi, zwróciła moją uwagę. Oto moja broda spoczywała na posadzce więzienia, natomiast wargi tudzież górna część głowy, jakkolwiek nachylone jeszcze niżej, już nie dotykały niczego. Równocześnie musnęły mi czoło jakieś lepkie wyziewy i osobliwszy zapach stęchłych grzybów wtargnął do moich nozdrzy. Wyciągnąłem ramię przed siebie i przekonałem się z przerażeniem, że upadłem na sam skraj kolistej studni, której rozmiarów nie mogłem — rzecz prosta — zbadać od razu. Dotykając omackiem cembrowiny tuż pod wrębem, zdołałem odłupać jakiś okruch i rzuciłem go w głąbię. Przez kilka sekund słyszałem, jak spadał, objając się w przelocie o ściany czeluści; w końcu rozległ się posępny plusk wody, któremu zawtórowały rozgłośnie echa. W tej samej chwili doleciał mnie z góry szmer jak gdyby pospiesznie otwartych i zaraz potem zamkniętych drzwi, a równocześnie nikła smuga świetlna mignęła w mrokach i znów zagasała.

Zdałem sobie sprawę z losu, który mi zgotowano, i błogosławiłem przypadek, co przyszedł w porę, by mnie ocalić. Gdybym nie był upadł i postąpił jeszcze o krok dalej, byłbym przepadł dla świata na zawsze; śmierć, której uniknąłem, była właśnie tego rodzaju, który wydawał mi się głupstwem i zmyśleniem w opowieściach krążących o Inkwizycji. Ofiary jej okrucieństwa miały do wyboru zgon w najstraszliwszych mękach cielesnych lub zatrutą w najprzeróżniejszych udręczeniach duchowych. Mnie to drugie przeznaczono w udziale. Długie cierpienia rozprzęgły me nerwy do tego stopnia, iż wzdrygnąłem się na dźwięk własnego głosu i ze wszelkich miar nadawałem się do tortury, która mnie oczekiwała.

Drżąc na całym ciele, wróciłem omackiem pod ścianę i postanowiłem szczeznąć tam raczej niż narazić się znów na grozę studzien, których — jak sobie wyobrażałem — w różnych miejscach mojego więzienia musiało być więcej. W innym usposobieniu umysłu nie zbywałoby mi na odwadze i byłbym przyspieszył kres mej niedoli, rzucając się w jedną z tych czeluści; ale podówczas byłem nikczemnym tchórzem. Przy tym nie mogłem zapomnieć o tym, co zdarzyło mi się ongi czytać o tych studniach, mianowicie, iż nagłej śmierci nie miały one bynajmniej na celu.

Targany rozterką czuwałem długo; w końcu jednak zasnąłem powtórnie. Po przebudzeniu znów znalazłem obok bochenek chleba i dzban wody. Trawiło mnie niezdolne pragnienie, więc jednym tchem wychyliłem naczynie do dna. Widocznie domieszono czegoś do wody, gdyż zaraz po jej wypiciu zmorzyła mnie nieprzewyciężona senność. Ogarnął mnie sen głęboki, podobny do śmierci. Nie wiem, jak długo spałem; kiedy jednak otworzył oczy, dostrzegłem otaczające mnie przedmioty. Jakieś dziwne, siarczane blaski, których pochodzenia nie umiałem zrazu sobie wytłumaczyć, pozwoliły mi zdać sobie sprawę z rozmiarów i wyglądu więzienia.

Co do jego wielkości pomyliłem się bardzo. Cały obwód ścian nie przekraczał dwudziestu pięciu jardów. Spostrzeżenie to sprawiło mi na chwilę niewymowną, lecz błahą przykrość; błaha była ona zaiste, gdyż w straszliwych okolicznościach, w jakich się znajdowałem, cóż mogło mnie mniej obchodzić od rozmiarów mojego więzienia? Lecz moja dusza przejmowała się zapamiętałe drobnostkami, więc zaciekałem się w myślach, by obliczyć błąd popełniony przy pomiarach. W końcu zaświtała mi prawda. Gdy po raz pierwszy przystąpił do badania, naliczyłem pięćdziesiąt dwa kroki od chwili upadku; znajdowałem się przeto o krok lub dwa od strzępu włosiennicy i okrążyłem obwód podziemia niemal w całości. Potem zasnąłem, a po przebudzeniu musiałem pójść z powrotem i na tej podstawie wywnioskowałem, iż obwód wynosi blisko dwa razy więcej niż w rzeczywistości. W bezładnej rozterce nie zauważyłem, iż zacząłem mój pochód, mając ścianę od strony lewej, a skończyłem go, mając ją od strony prawej.

Pobłądziłem również co do kształtu mej celi. Szukając po omacku drogi, napotkałem wiele kątów i w ten sposób wytworzyłem sobie przeświadczenie o wielkiej nieregularności; tak przemożny jest wpływ nieprzeniknionych mroków na człowieka rozbudzonego z letargu lub ze snu! Kąty te były po prostu płytkimi wgłębieniami, czyli wnękami, rozmieszczonymi w nierównych odstępach. Ogólny kształt więzienia był czworoboczny. Domniemany mur wydał mi się teraz ścianą z żelaza czy też innego metalu, utwo-

Otchłań

Więzienie, Śmierć, Więzień

rzoną z olbrzymich płyt, których szwy i spojenia były przyczyną owych wgłębień. Całą powierzchnię tej metalowej budowy pokrywały nieudolnie nabazgrane, potworne i obmierzłe symbole, poczęte z zabobonu krwiożerczych mnichów. Wszystkie ściany były skalane wyzierającymi z nich groźnie postaciami szatanów w otoczeniu kościotrupów jako też innych zjaw, w rzeczywistości o wiele okropniejszych. Zauważyłem, że zarysy tych potworów występowały dość wyraźnie, natomiast barwy wyblakły i ściemniały, jak gdyby pod wpływem powietrza przesyconego parą. Z kolei przyjrzałem się posadzce: była kamienna. Pośrodku ziała kolista studnia, której czeluści udało mi się uniknąć. Wbrew moim przypuszczeniom w całym więzieniu była ona jedyną.

Wszystko to widziałem niewyraźnie i z niemałym wysiłkiem, gdyż warunki, w jakich się znajdowałem, podczas snu uległy wielkiej zmianie. Leżałem obecnie na wznak, rozpięty na niskim drewnianym tapczanie. Przytwierdzono mnie mocno do niego długim rzemieniem, podobnym do popręgu. Opasywał on kilkakrotnie członki i ciało, pozostawiając swobodę ruchów jeno mej głowie i memu lewemu ramieniu, lecz tylko o tyle, iż z największym wyęczeniem mogłem sięgnąć po strawę do glinianej miski stojącej obok na posadzce. Zauważyłem ku mojemu przerażeniu, iż dzban zabrano. Powtarzam: ku mojemu przerażeniu, gdyż trawiło mnie niewysłowione pragnienie. Widocznie prześladowcy moi chcieli je spotęgować, gdyż w misce znajdowało się mięso, ogromnie przesolone.

Jąłem badać oczyma strop mego więzienia. Znajdował się on na wysokości trzydziestu lub czterdziestu stóp i był zbudowany podobnie jak ściany boczne. W jednej z jego kaset jakaś osobliwa postać przykuła wszystkim naszą uwagę. Była to malowana postać Czasu, pojęta w ten sposób, jak ją się zazwyczaj wyobraża, z tą wszakże różnicą, iż zamiast kosy trzymał on coś, co na pierwsze wejrzenie wydało mi się namalowanym olbrzymim wahadłem, podobnym do tych, jakie się widuje przy starodawnych zegarach. Było jednak coś w wyglądzie tej maszyny, co zniewoliło mnie przyjrzeć się jej dokładnie. Patrząc na nią wprost w górę (gdzie znajdowała się bezpośrednio nade mną) miałem wrażenie, że się porusza. W chwilę później wrażenie to stało się pewnością. Wahania jej były krótkie i powolne. Przyglądałem się jej czas jakiś z niejakim lękiem, lecz z jeszcze większym zdziwieniem. W końcu znużony jej opieszalym ruchem, zwróciłem oczy ku innym przedmiotom, znajdującym się w mej celi.

Lekki szmer obudził naszą czujność. Spojrzałem na posadzkę i dostrzegłem kilka olbrzymich szczurów. Wypełzły ze studni, która znajdowała się na prawo. Na poczekaniu zbiegły się tłumnie, przywabione zapachem mięsa, świecąc żarłocznymi oczyma. Zużyłem niemało baczności i siły, by się od nich opędzić.

Upłynęło pół godziny, a może nawet więcej (gdzie niepodobna mi było określić dokładnie czasu), zanim znów podniosłem oczy w górę. Ujrzałem tam zjawisko, które mnie przejęło zdumieniem i przerażeniem. Odchylenie wahadła wzmogło się w wymiarach niemal o jard. Rzecz prosta, iż szybkość jego zwiększyła się również ogromnie. Lecz najwięcej zaniepokoiło mnie przeświadczenie, że wahadło widocznie się obniża. Zauważyłem także, iż dolny jego koniec miał kształt półksiężyca wykutego ze lśniącej stali, którego długość od jednego krańca do drugiego wynosiła mniej więcej stopę; zakończenia jako też brzeszczot dolny były widocznie wyostrzone na podobieństwo brzytwy. Był on osadzony na potężnym brązowym trzpieniu i kołysał się, z sykiem przecinając powietrze.

Nie mogłem już dłużej wątpić, iż była to kaźń zgotowana mi przez pomyslowych w swym okrucieństwie mnichów. Siepacze Inkwizycji dowiedzieli się, iż nie uszło mej baczności istnienie studni — tej studni, przeznaczonej dla takich zuchwałych jak ja odszczepieńców, stanowiącej wyobrażenie piekła i uważanej powszechnie za Ultima Thule<sup>7</sup> wszelkiej katuszy. Nie wpadłem do studni jedynie dzięki łaskawości przypadku, jednak wiedziałem, iż niespodzianki i podstępny w stosowaniu tortur stanowiły niepoślednią część potworności wchodzących w skład śmiertelnych mąk więziennych. Czeluść zawiodła oczekiwania tych demonów, więc nie było celu strącać mnie do niej przemocą i nie pozostawało nic innego, jak wybrać mi zgubę odmienną i łagodniejszą. Łagodniejszą! Byłem bliski zgonu, a jednak uśmiechałem się niemal na myśl o takim zastosowaniu tego słowa.

Czas, Śmierć

Zwierzęta

<sup>7</sup>Ultima Thule — legendarna wyspa daleko na północy, synonim krańca świata. [przypis edytorski]

Po cóż wspominać o długich, nieludsko długich godzinach trwogi, spędzonych na liczeniu drgnień rozważanej stali? Ruchem, dającym się oznaczyć jedynie z odstępów, które były dla mnie wiekami, obsuwała się ona cal<sup>8</sup> po calu — linia po linii — niżej i coraz niżej! Dnie całe minęły — może nawet wiele dni — zanim ostrze tak nisko zawisło nade mną, iż jęło mnie muskać swym przenikliwym tchnieniem. Zapach stali przeniknął do mych nozdrzy. Modliłem się, naprzykrzałem się niebu moimi modlitwami, by przyspieszyć jej spadek. Zapamiętawszy się w szale, prężyłem się wzwyż na spotkanie rozkołysanego, straszliwego sierpa. To znów przycichałem nagle i leżałem, uśmiechając się do tej skrzęcej zatury, podobnie jak dziecię uśmiecha się na widok jakiegoś niezwykłego cacka.

Następnie przyszła kolei na ponowny okres zupełnego beczucia; był on niedługi, gdyż odzyskawszy przytomność, nie zauważyłem znacniejszego obniżenia się wahadła. Zresztą, kto wie, czy nie trwał dłużej — wiedziałem bowiem, iż czuwały demony, które spostrzegłszy me omdlenie, mogły dowolnie zatrzymać ruch. Przyszedłszy do siebie, uczułem się niewymownie wyczerpany i osłabiony jak gdyby po przewlekłym niedomaganiu. Jednak nawet wśród mąk organizm mój łaknął pożywienia. Z niemalym trudem wyciągnąłem lewe ramię tak daleko, jak na to więzy pozwalały, i zabrałem niewielką resztkę, pozostawioną mi przez szczury. Gdy podnosiłem kęs do ust, drgnęła mi w mózgu niepełna myśl radości — nadziei. Lecz czyż istniała łączność między mną a nadzieją? Jak powiedziałem, była to myśl niepełna; ludzie miewają wiele myśli, które nie osiągają pełni. Uczułem w jej drgnieniu nadzieję i radość, lecz czułem także, iż zanikła w zawiązku. Na próżno siliłem się, by ją otworzyć — dopełnić. Długie katusze unicestwiły niemal przyrodzone władze mego ducha. Stępiąłem — stałem się idiotą.

Ruch wahadła odbywał się pod kątem prostym do mej długości. Widziałem, iż ów półksiężyc miał mnie ugodzić w okolicę serca. Werźnie się w sukno mojego odzienia, po czym powróci i werźnie się znowu — raz za razem! Pomimo ogromnych rozmiarów opisywanego łuku (wynosił on jakichś trzydzieści stóp lub więcej) i pomimo syczącego rozmachu, z jakim odbywał się jego spadek, mocen roztrzaskać nawet te lite, żelazne ściany, na razie nie dokaże niczego więcej prócz rozszarpania mego odzienia. Na tej myśli utknąłem. Nie śmiałem zapuszczać się dalej poza tę refleksję. Trwałem przy niej z zawziętym uporem, jak gdybym tą zaciętością mógł powstrzymać kołyszące się wysoko ostrze brzeszczotu. Siliłem się, by odgadnąć szmer sierpa przecinającego mą włosienicę — by zdać sobie sprawę z owego, dziwnie przenikliwego uczucia, jakim naruszenie sukien odzywa się w nerwach. Zaciekałem się w tych drobnostkach do tego stopnia, iż jąłem w końcu szczękać zębami.

Obsuwał się niżej — coraz niżej. Z obłądną rozkoszą porównywałem chyżość jego spadku z chyżością odchyleń. W prawo — w lewo — szach, szach, z potępieńczym zgrzytem! I znów czyha na me serce spokojnie jak tygrys! Śmiałem się i wylem na przemian, w miarę jak jedna lub druga myśl brała nade mną przewagę.

Niżej — niezmiennie, niezawodnie coraz niżej! Śmigał o trzy cale od mojej piersi! Wytężałem się zapamiętałe, wściekle, by oswobodzić lewe ramię. Było wolne tylko od łokcia pod dłoń. Z ogromnym trudem mogłem nim sięgać do misy stojącej obok, do ust, ale nie dalej. Gdybym był mógł zerwać więzy powyżej łokcia, byłbym uchwycił wahadło i starałbym się je zatrzymać; oczywiście z nie większym skutkiem, niż gdybym chciał unieruchomić lawinę!

Wciąż coraz niżej — nieodparcie, nieustannie co raz niżej! Dyszałem i podrywałem się za każdym drgnieniem. Wiłem się kurczowo po każdym wahnieniu. Oczy moje biegły za każdym odchyleniem z zapamiętałością obłądnej rozpacz i zamykały się spazmatycznie, gdy wahadło wracało, aczkolwiek śmierć mogła mi dać ukojenie — och, jakież niewysłowione ukojenie! Mimo to wszystkie me nerwy prężyły się na myśl, iż jeden lekki ruch mechanizmu może zanurzyć ten ostry, rozmigotany brzeszczot w mej piersi. To nadzieja napinała me nerwy i wstrząsała mym ciałem, ta sama nadzieja, co triumfuje przy łożu tortury i nie opuszcza skazańców nawet w więzieniach Inkwizycji.

Wymiarkowałem, iż ostrze stali po jakichś dziesięciu lub dwunastu nawrotach zetknie się bezpośrednio z moją odzieżą, i wraz z tym spostrzeżeniem zawzięty, skupiony spokój

<sup>8</sup>cal — anglosaska miara długości, równa 1/12 stopy, tj. ok. 2,5 cm, dzieląca się na 10 linii, po 2,5 mm każda. [przypis edytorski]

Jedzenie

Cierpienie, Nadzieja

Przecucie

Głupota

Niebezpieczeństwo

rozpaczy owładnął nagle mą duszą. Od wielu godzin, a może nawet od wielu dni po raz pierwszy myślałem. I oto przyszło mi do głowy, że pas czy taśma, którą mnie skrupowano, była z jednej sztuki. Nie miałem na sobie oddzielnych więzów. Pierwsze muśnięcie ostrego na kształt brzozy półksiężycy przetnie poprzecznie rzemień w jakimś miejscu i z pomocą mej lewej ręki będę mógł odwinąć go z ciała. Lecz jak okropna będzie wówczas bliskość tej stali! Jak straszne w następstwach najłżejsze nawet drgnienie! A zresztą czyż to podobna, by moi lubi prześladowcy nie przewidzieli i nie zapobiegli tej możliwości? Czyż można przypuszczać, by oploty rzemienia krzyżowały moją pierś na linii wahadła? Drżąc, by ta nikła i — jak się zdawało — ostatnia nadzieja nie spełzała na niczym, podźwignąłem głowę o tyle, iż mogłem dokładnie obejrzeć piersi. Pas spowijał szczelnie me członki i ciało we wszystkich kierunkach, ale w zasięgu złowrogiego ostrza go nie było.

Zaledwie zdążyłem opuścić głowę na dawne miejsce, a już w mym duchu zaświtało coś, co najwłaściwiej dałoby się określić jako niedokształcona połówka owej myśli o wyzwoleniu, o której już poprzednio napomknąłem, a która połowicznie tylko i niejasno przewinęła mi się w mózgu, kiedy podnosiłem pokarm do mych spieczonych warg. Zawitała tedy myśl cała — nikła, mdła jeszcze, zaledwie określona, ale zupełna. Z porywczą rzutkością rozpaczy przystąpiłem od razu do jej wykonania.

Od wielu już godzin bezpośrednie poblize niskiego tapczana, na którym leżałem, roilo się po prostu od szczurów. Były one dzikie, żarłoczne i zuchwałe; zwracały na mnie swe szklące, czerwone oczy, jak gdyby oczekiwały, kiedy znieruchomieję i stanę się ich łupem. „Do jakiejże strawy — myślałem sobie — nawykły one w tej studni?”

Daremne były moje wysiłki, by je odpędzić; pożarły całą zawartość miski z wyjątkiem niewielkiej odrobiny. Nawykowo nie ustawałem w młynkowaniu, czyli wymachiwaniu ręką dokoła półmiska, jednak ta bezwiedna jednostajność ruchu postradała w końcu swe znaczenie. Plugastwo było tak żarłoczne, iż niejednokrotnie wpijało się swymi ostrymi kłami w me palce. Pozostałymi ochłapami tłustego i pieprzonego mięsiwa natarłem tedy mocno me więzy wszędzie, gdzie mogłem dosięgnąć; po czym uniósłszy rękę z posadzki, przestałem się ruszać i wstrzymałem oddech.

Zmiana ta, to moje znieruchomienie zrazu, zatrwożyła i przeraziła żarłoczne zwierzęta. Zaniepokojone pierzchły; niektóre skryły się do studni. Trwało to wszakże niedługo. Nie przeliczyłem się na ich żarłoczność. Widząc, iż leżę nieruchomo, dwa czy trzy najśmielsze wskoczyły na tapczan i jęły obwąchiwać rzemienie. Było to znakiem do gromadnego najścia. Ze studni wypadały coraz to nowe stada. Obiegiły tłumnie tapczan, wdarły się na niego i setkami okryły me ciało. Nie ploszył ich bynajmniej miarowy ruch wahadła. Unikając jego ciosów, zabrały się do ociekających tłuszczem rzemieni. Przybywało ich coraz więcej, roily się na mnie i tłoczyły. Pelzały mi po szyi; chłodne ich pyszczki lechtały me usta; dusiłem się niemal pod ich przygniatającym natłokiem; odraza, dla której nie ma nazwania, wezbrała w mej piersi i ciężkim swym osadem zmroziła mi serce. Ale czułem, iż jeszcze chwila, a będzie po wszystkim. Z całą pewnością doznawałem wrażenia, iż więzy poczynają się rozluźniać. Niezawodnie puściły już w niejednym miejscu. Z nadludzką stanowczością leżałem nieruchomo.

Nie pomyliłem się w mych przewidywaniach i nie cierpiałem na próżno. W końcu uczułem, iż jestem wolny. Rzemień opadł ze mnie strzępami. Jednak ostrze wahadła już ocierało się o moje piersi. Werżnęło się w włosiennicę. Przecięło pod spodem bieliznę. Jeszcze dwa wahnienia — i przenikliwy wstrząs bólu targnął wszystkimi moimi nerwami. Lecz chwila ocalenia nadeszła. Na skinienie mej ręki zbawcy moi pierzchli w nieładzie. Wolno, przezornie, chyłkiem i bokiem wypelzłem z oplotów rzemienia poza zasięg sierpa. Na razie byłem wreszcie wolny.

Wolny — a w szponach Inkwizycji! Zaledwie zdążyłem zejść z mojego drewnianego łoża tortur na kamienną posadzkę więzienia, gdy ruchy piekielnej maszyny ustały i jakaś niewidzialna siła pociągnęła ją w górę poprzez otwór w sklepieniu. Była to nauczka, od której serce zawrzało mi rozpaczą. Nie ulegało wątpliwości, iż każdy mój ruch nadzorowano. Wolny! — uszedłem jednego rodzaju męczeńskiej śmierci tylko po to, by paść ofiarą czegoś jeszcze gorszego, jakiejś innej zguby. Myśląc o tym, wodziłem nerwowo oczyma po żelaznych zaporach, które mnie otaczały. Rzecz dziwna! W celi zaszła widocznie jakaś zmiana, z której na razie nie umiałem zdać sobie należycie sprawy. Owładnęło mną drżące, senne roztargnienie i przez czas jakiś zaciekałem się w jałowych, bezrad-

Zwierzęta, Jedzenie

Wolność,  
Niebezpieczeństwo, Śmierć

Niebezpieczeństwo,  
Więzienie, Śmierć, Ogień,  
Woda, Piekło, Pułapka



nych przypuszczeniach. Dostrzegłem wówczas po raz pierwszy źródło owego siarczanego światła rozwidniającego celę. Wynikało ono ze szczeliny, szerokiej na pół cala, obiegającej wokół całej więzienia tuż przy samej ziemi, tak iż jego ściany zdawały się nie dotykać i w rzeczywistości nie dotykały wcale swej podstawy. Na próżno usiłowałem wyjrzeć przez ten otwór.

Kiedym zniechęcony powstawał z ziemi, w umyśle moim rozjaśniła się nagle tajemnicza zmian, które zaszły w celi. Zauważyłem dawniej, iż wprawdzie zarysy figur widniejących na ścianach dość były wyraźne, lecz barwy ich jak gdyby ściemniały i przygasły. Otóż te barwy jeły teraz nasycać się i skrzyć się tak przeraźliwie, iż widmowe i szatańskie bohomy przybrały wygląd mogący wstrząsnąć nawet silniejszymi od moich nerwami. Zewsząd, ze wszystkich miejsc, gdzie ich przedtem nie było, wyzierały ku mnie dzikie, upiorne rozgorzałe ślepia demonów, jarząc się posępnym blaskiem ognia, co do którego na próżno siliłem się przekonać mą wyobraźnię, iż jest nierzeczywisty.

Nierzeczywisty! Kiedym wszakże odetchnął, uczulem w nozdrzach zapach rozgrzanego żelaza! Duszącymi wyziewami zapełniło się więzienie! Coraz głębszym żarem nasiąkały oczy spoglądające na moje męczarnie! Coraz szcudrzejsza purpura rozlewała się po ubroczonych we krwi, potwornych malowidłach! Jąłem dyszeć. Zabrakło mi tchu. Nie ulegało już wątpliwości, co mieli na celu moi prześladowcy — och, jakże szatańscy i nieubłagani! Potoczyłem się od rozżarzonego metalu ku środkowi celi. Wśród grozy ogniowej śmierci myśl o chłodzie wiejącym ze studni była dla duszy mej balsamem. Podbiegłem ku jej śmiertelnym stokom. Zapuściłem w głąb badawcze oczy. Łuna bijąca od żarzącego się stropu rozwidniała najwnętrzniesze jej tajnie. Ale w pierwszym, obłąkanym mgnieniu duch mój wzdragał się pojąć, co tam ujrzałem. W końcu jednakże przemogło — utorowało sobie drogę do mej duszy — zagrzęzło ognistym piętnem w moim struchlałym mózgu. O, dajcie mówić! — o, zgrozo! — och, raczej wszystko, byle nie to! Z krzykiem targnąłem się wstecz od wrębu i ukrywszy twarz w dłoniach, zaniósłem się gorzkim łkaniem.

Skwar wzmagął się szybko, a kiedy znów podniosłem oczy, zadygotałem, jak gdybym był w gorączce. Dokonała się nowa zmiana w celi — przejawiała się tym razem w kształcie. Podobnie jak przedtem, na próżno starałem się w pierwszej chwili pojąć i zrozumieć, co zaszło. Niedługo wszakże trwała ta moja niepewność. Dwukrotne me ocalenie przyspieszyło zemstę Inkwizycji i niepodobna już było igrać z Widmem Grozy. Więzienie moje miało kształt czworoboku. Otóż zauważyłem, iż dwa jego żelazne kąty stały się nagle ostrymi, dwa zaś inne rozwartymi. Straszliwe to przeobrażenie odbywało się szybko z głuchym chrzęstem i przeraźliwym zgrzytem. W okamgnieniu cela przybrała kształt rombu. Lecz nie był to jeszcze koniec zmian — ani go nie oczekiwałem, anim go nie pragnąłem. Chciałem otulić moją pierś w rozpalone do czerwoności ściany niby w szatę wiekuistego spokoju. „Śmierci! — wołałem — jakiegokolwiek śmierci, byle nie w studni!” Co za szaleństwo! Czyż podobna było wątpić, iż rozpalone żelaziwo miało przemocą strącić mnie do niej? Czy mogłem oprzeć się żarowi, a gdyby nawet to się powiodło, to czyż nie uległbym naporowi? Romb spłaszczal się coraz chyżej i chyżej, nie pozostawiając mi czasu na rozmyślenia. Jego środek, znajdujący się na przekątnej największego wymiaru, przypadał na sam otwór zięjącej czeluści. Targnąłem się wstecz, lecz zwierające się ściany parły mnie niewstrzymanie naprzód. W końcu dla mego poparzonego i wijącego się ciała nie pozostało ani piędzi posadzki pod stopami. Zaprzestałem oporu, lecz tortura wydarła z mej duszy przeciągły, donośny, ostateczny krzyk rozpaczny. Uczulem, że chwieję się na cembrowinie — odwróciłem oczy...

Wtem nagle niesforny zgiełk głosów ludzkich! I gromki odzew nieprzeliczonych surm! I wściekły poryk jak gdyby tysiąca grzmotów! Płomieniste ściany rozstały się w krąg! Czyjaś wyciągnięta ręka uchwyciła mnie za ramię, gdy bezwładny staczałem się w otchłań. Była to ręka generała Lasalle'a<sup>9</sup>. Wojska francuskie wkroczyły do Toledo. Inkwizycja wpadła w ręce swych nieprzyjaciół.

Wolność

<sup>9</sup>Lassalle, Antoine Charles Louis de (1775–1809) — generał wojsk napoleońskich, uczestnik wojny na Półwspie Iberyjskim (1808–1814). Zdobyte przez niego więzienia inkwizycji w Toledo jest fikcją literacką; hiszpańska inkwizycja została zniesiona w 1808 po zajęciu Madrytu przez wojska napoleońskie. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/poe-zloty-zuk-studnia-i-wahadlo/>

Tekst opracowany na podstawie: Edgar Allan Poe, Złoty żuk, "Książka i Wiedza", Warszawa 1950.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury. Reprodukacja cyfrowa pochodzi z zasobów Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Żuki, Abbott Handerson Thayer (1849–1921), domena publiczna

ISBN 978-83-288-6718-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do **Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.